

# TYGODNIK ILLUSTROWANY.



N<sup>o</sup>. 195.

*Prenumerata w Warszawie:*  
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,  
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 20 czerwca 1863 r.

*Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:*  
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3  
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM VII.

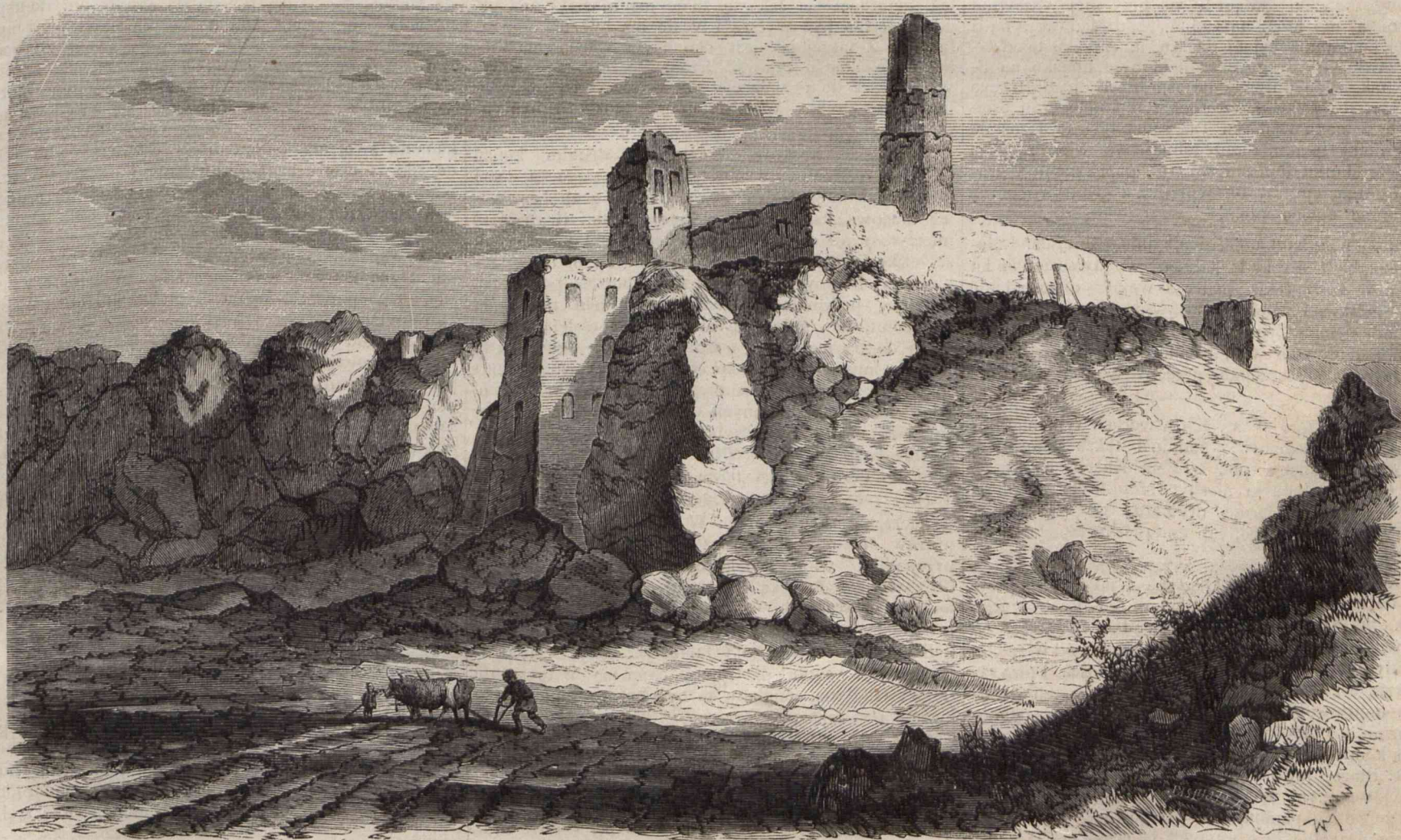
## TREŚĆ NUMERU.

Olsztyn (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Zakrytyta ks. Bernardynów w Warszawie (z drzeworytem). — Mikołaj Wolski (z drzeworytem). — Przegląd polityki zagranicznej. — Kościół katedralny w Wilnie (z drzeworytem). — Szachy. — Rebus.

nad swe niższe siostry ku niebu wybiegających. Szare te słupy, są to baszty Olsztyna, ostatnie ocalałe szczątki potężnego kiedyś i sławnego w dziejach grodu.

Po wielekroć już, przejeżdżając tędy, z żalem widziałem je rozplywające się w mgłę oddalenia, nie mogąc poświęcić potrzebnego na zwidzenie ruiny cza-

wy należące chaty, droga idzie około pół mili posępnym lasem sosnowym, dalej z ćwierć mili mokrą niziną Warty, potem znów z milę niskim, gęstym, jednodostajnym lasem. Same sosenki i sosenki pod rząd siane, równo wyrosłe i podobne do siebie wszystkie jak bliźnięta... Wystawcie sobie do tego zachmurzone niebo i z cudowną regularnością mrzący jak przez



OLSZTYN. (Rysował na drzewie Kostrzewski).

## OLSZTYN.

Dojeżdżając koleją żelazną do Częstochowy, w głębi na siniejących poza strzelistymi murami Jasnej-góry wzgórzach, rysuje się niewyraźnie kilka olbrzymich, ciemnych słupów, niby wysmukłe obeliski skał, po-

su; aż dziś nareszcie, dzień swobodny do rozporządzenia mając, życzenie to zaspokoilem.

Pomimo niezbyt wielkiej na pozór odległości, kawał to przecież potężny drogi z Częstochowy do Olsztyna. Dobremi końmi dwie godzin pełne jechać trzeba. Pominąwszy ostatnie, rozpięzchłe, do Częstocho-

sitko kapuśniaczek, a pojmiecie jak wesolą miałem podróż. Szczęściem na samym dojeźdźnym rozstępują się nieco chmury, kapuśniaczek, jakby przez grzeczność, ustaje i kilka promieni bladego słońca przedziiera się ukradkiem przez szczeliny obłoków. Zaraz jakoś weseliej robi się w duszy i koniki raźniej pną

szlachetnego zajęcia, łupiąc lub nakładając okupy na okoliczne włości, a szczególnie na przejezdnych kupców.

W liczbie takich grabieżców, jednym z najpotężniejszych a razem najzuchwalszych, był Maćko Borkowicz, herbu Napiwoń, wojewoda poznański. Król Kazimierz, zajęty gorliwie przywróceniem w kraju ładu i bezpieczeństwa publicznego, po dwakroć go upominał, ażeby wypraw swych zaprzestał; gdy jednak, ufny w swą siłę i godność, wojewoda posłusznym się nie okazał, poimanego w Kaliszu 1358 roku, na ukaranie do Olsztyna odesłał. Tutaj czekała na niego straszna śmierć głodowa, spuszczone bowiem do lochu, za codzienne pożywienie dzban tylko wody i wiązkę siana otrzymywał. Kronikarze zapisali, że o tej bydlęcej strawie czterdzięci dni żył jeszcze, nim skonał. Iluż to przekleństw, ilu jęków, ilu rozpacznych miotań się była świadkiem ta milcząca skała, w łonie której byłym go pogrzebiono...

Było mniemanie, zapisane przez kronikarzy, że tę niezwykłą króla dla Borkowicza surowość podyktowała zemsta, za jakieś tajemne wojewody z królową stosunki. Gdy jednak na to, prócz głuchej pogłoski, żadnego niema dowodu, pozostawmy raczej przy zaszczytniejszym dla pamięci wielkiego króla mniemaniu, że jedynie w chęci zastraszenia innych podobnego rodzaju zbrodniarzy, dał na najznakomitszym z nich tak przerażający przykład.

Po śmierci Kazmirza, następca jego Ludwik Węgierski, prawdziwie po ojczymowsku Polską rządzący, nadał Olsztyn w 1370 roku Władysławowi księciu opolskiemu, podobnie jak wiele innych miast i grodów własnością królestwa będących, które potem Władysławowi Jagielle zbrojną ręką odbierać przyszło. Kosztowało to niemało czasu i ludzi, aż nareszcie zdobycie Olsztyna w 1396 r., poddanie się innych przez Opolczyka trzymanyh jeszcze zamków, jako to: Krzepic, Wielunia, Bolesławca, Ostrzeszowa, Brzeźnicy, Bobolic, Grabowa, ułatwiło. Olsztyn był wówczas z nich wszystkich najmocniejszym, jak o tem świadomy rzeźby Długosz wyraźnie pisze.

Miasteczko u podnóża zamku, początkowo pod nazwą Olsztynek, założonem zostało w r. 1488, przywilejem króla Kazmirza Jagiellończyka, który mu sto czterdzięci łanów ziemi nadał. Pomimo jednak obrony, jaką mieszkańcom tulącym się przy niej warownia zapewniała, nie leżąc na żadnej, bądź lądowej, bądź wodnej, komunikacyjnej drodze, miasteczko to od samego zawiązku swego skazanem było niejako na lichotę, tak iż po upływie lat osmdziesięciu, lustracya z 1564 r. dwudziestu czterech tylko mieszczan osiedlonych w niem znalazła. Taż sama lustracya zastała także mury zamku, szczególnie w wjezdnej jego części, w skutku obniżeń się skał, popękaniem i grożącemi ruiną, jeśliby im wprędce z gruntownem nie pośpieszono umocnieniem.

Czyli to pożądané umocnienie miało miejsce? niewiadomo; bądź jak bądź jednak, we dwadzieścia lat później, w 1587 roku, podczas wojny o posiadanie tronu polskiego pomiędzy arcyksiążęciem rakuzkim Maksymilianem a Zygmuntem III toczonéj, załoga Olsztyna, pod dowództwem dzielnego Kacpra Karlińskiego, trzymała się krzepko przeciw wojsku niemieckiemu.

Syrokomla, który w swoich utworach tyle narodowych rozwinął tematów, podniósł także pamięć tej obrony w poemacie pod tytułem Kacper Karliński. Zdaje mi się jednak iż niezbyt szczęśliwie obrał na ten cel szeroką formę dramatu, gdy przedmiot właściwiej do epicznego, lub epiczno-lirycznego nadawał się obrobienia.

Jakie były dalsze losy Olsztyna i jaką drogą przyszedł do stanu ruiny, niewiadomo; co do ostatniego jednak przyczyny odgadnąć nietrudno. Pękające od dołu w skutku usuwania się skał mury, od wierzchu niszczały tem prędzej skutkiem niedbałości, która sama przez się tyle warownych grodów naszych do upadku doprowadziła; kiedy zaś raz już pustką stanęły, brudna, nikczemna chciwość przyszła rozwaląc z nich kamienie, ażeby je na swój poziomy obrócić użytek. Starzy ludzie, których się rozpytywałem czyli zamku w innym nie pamiętają stanie, zapewniali mnie, że odkąd pomną, powierzchowność jego w niczem się nie zmieniła i że nawet od ojców nie słyszeli, żeby za tychże pamięci inaczej miał wyglądać.

Z ocalałych po dziś dzień olsztyńskiego zamku szczątków, równie trudno odgadnąć obronność, jak i dawniejszy kształt jego. Ten ostatni musiał być dziwnie nieregularnym, z powodu nadzwyczajnej nierówności skał, za podstawę zamkowi służących. Ogrom przestrzeni murami objętej zaznaczają dotąd dość wy-

rażnie to wysterczające z pod ziemi tychże murów fundamenta, to tu i owdzie stojące jeszcze ich kawały. Podobnie jak w Ogrodzieńcu, i tu wystrzelające ponad poziom wzgórze bryły skał, połączone okólnym murem, tworzyły rodzaj baszt samorodnych. Główna część zamku stała w narożniku pagórka, ku kościelowi miasteczka najbliższej wysuniętom; tedy także był wjazd do warowni, u dołu broniony przekopem dotąd rozeznac się dającym. Obok szczytów zewnętrznego muru, kilku ścian wewnętrznych budynków i zrębów baszt pozawalanych, wznoszą się tu jeszcze dwie dość wysokie, czworoboczne, przylegające do siebie baszty. Jedna z nich, nieco niżej na pochyłość wzgórze wysunięta, nosi na sobie piętno późniejszego od reszty murów budownictwa i była zapewne zbudowaną dla wsparcia swój starszej siostrzycy, kiedy jej mury pękać zaczynały. A że w niej, jak są śladu w lustracyach, najpiętrzy pękaly, nie zdziwi się nikt, widząc posadę na której spoczywa. Tuż pod nią w łonie góry znajduje się przestrona, do jakich pięćdziesięciu łokci wysoka i przez pół tyle szeroka grotta, na kilkadziesiąt kroków w głąb się ciągnąca i w miarę oddalania się od wnijscia coraz bardziej zwiężająca się i obniżająca. W miejscu gdzie już człowiek się postępować nie może, widać jeszcze dalej ku dołowi idącą czarną czeluść, która może do dalszych odnóg jaskini prowadziła, lub jest początkiem jakiegoś tajnego przejścia, pracą załogi na przypadek ostatniej konieczności wykutego; dziś jednak gruz i złomy kamień zagradzają do poszukiwań drogę. Za czasów istnienia twierdzy, samorodna ta piwnica mogła być wielce dogodną do przechowywania w niej żywności i materiału wojennego; a może też miała smutniejsze więzienia przeznaczenie. Ją to może oddany na pastwę nieludzkiej śmierci Borkowicz napelniał jękami i przekleństwami swój rozpacz, tłukąc się po jej czarnej jak noc przestrzeni, która mu się bez końca jak piekło zdawać musiała. Dziś, po zawaleniu się części zamykającego wejście do niej muru, błady brzask dnia wdiera się znów pod to wspaniałe sklepienie przyrody ręką wzniesione, kiedy przez kilka wieków żaden jego nie przedarł się promień.

Nieco dalej, na najwyższym, niegdyś w środku zamku położonym punkcie, wystrzela smukła, kilka pięt sięgająca, okrągła wieża, za uważalnij dla załogi przeznaczona. Jak się zdaje nie musiała ona nigdy znacznie być wyższą i wcale też być nie potrzebowała. Z takiej jak jest, oko mogło ogarnąć na kilka mil okolice i żalować trzeba, że brak wszelkiego wnijscia z dołu wdarcie się na szczyt jej niepodobnym dziś czyni. Widok ztamtąd musiałby być cudownym.

O kilkaset kroków wreszcie, na drugim końcu wązkim grzbieciem wyciągającego się pagórka, stoi samotnie jednopiętrowa, czworoboczna, grubością swoich murów zaiste zastanawiająca baszta. Grubość tę mierzyłem we drzwiach za pomocą laski i znalazłem że lekko licząc, siedm łokci wynosi. Ta nadzwyczajna siła budowy była też bardzo baszcie potrzebna, z natury położenia bowiem przy każdym na zamek uderzeniu, mogła być łatwo od niego odcięta i zmuszoną do trzymania się o szcuplej załogi swój siłach. Ale też łatwo pojąć, że przy takiej warowności murów, po zawarciu szcuplego wnijscia kilkorakimij żelaznymi wroty, za onych dawnych czasów dziesięciu ludzi mogło w niej bronić się wojsku całemu, równie bezpiecznie, jak dziś w łonie takiego naprzykład Monitora przeciw flocie całej.

Otóż i wszystko co z olsztyńskiego zamczyska na powierzchni ziemi ocalało. W łonie skał, w obwodzie murów położonych, oprócz nieforemnych szczelin i przepadlin, widać wiele obszerniejszych zagłębieni, niby wejścia do ręką ludzką urządzonych przejść lub lochów prowadzące; ale wszystko to tuż u samego prawie otworu gruzem i kamieniami zasute. Gdyby się jednak znalazł kiedyś jaki fantastyk, coby chciał podjąć trud i koszt, dla zapuszczenia się w te zasute tajniki Olsztyna, mogłaby to być bardzo zajmująca a może i pouczająca wyprawa.

W pobliżu Olsztyna, o jakie pół mili w pokrytych lasami górach, znajdują się obszernością swoją, kształtem i bogactwem wapiennych sopli odznaczające się pieczary, którym równych, podług zdania wielu znawców, mało podobno w Europie da się znaleźć. Żądają ich zwidzenia pałałem już oddawna—lecz niestety! będąc tak blisko, ominąć je nie widziawszy musiałem. W chwili gdy kończyłem zwidzenie zamczyska, słońce już zaszło, mrok zapadł rąco, a deszcz, odpoczynawszy sobie parę godzin, z nowymi siłami rozpoczął płukać ziemię z jej brudów.

Człowiek prawda nie z papieru, nie ma się co bać rozmoknięcia, i gdybym pieszo podróżował, nie zwa-

żając na słotę, oddaliby odwidziny nietoperzom i sówom grot olsztyńskich. Ale chłopczyzna wojnica upominał do powrotu, nie dowierając sobie, żeby po nocy na ciasnej przez las drożynie nie uszkodził bryczki swego gospodarza. Trzeba się więc było poddać jego słusznym wymaganiom i zwidzenie pieczar na drugi raz zostawiając, tymczasem wracać do Częstochowy.

## Kronika tygodniowa.

Od kilku dni rozeszła się u nas pogłoska o śmierci Kornela Ujejskiego. (1)

Nie tu miejsce ocenić jakby należało ten ogromny talent: o Ujejskim całe studium pisać by potrzebą, każdy bowiem tom poezyj przez niego wydanych wysokie ma znaczenie dla literatury naszej. Portret jego wraz z życiorysem i pobieżnym ocenieniem dzieł, dał już w swoim czasie Tygodnik Ilustrowany; nie widzimy więc potrzeby powtarzać co raz już powiedzianem zostało. W stanowisku jednak Ujejskiego niektórych stron ręką biografów i krytyka nie dotknęła jeszcze. O tych więc wspomnąć tu nie zawadzi.

Wiadomo nam że w różnych czasach czyniono starania, żeby poetę galicyjskiego na ciągle do Warszawy sprowadzić zamieszkanie; ale rozbiły się one o wstręt jego do wszelkiej pracy, która z czystego źródła natchnień nie płynęła. I to właśnie stanowi bardzo wybitną stronę charakteru, a może i talentu Ujejskiego. Natchnienie u niego wszystkiem, w życiu i w pismach. Z tego źródła płyną wysokie jego przymioty, z tego i błędy. Bo natchnienie, ściągając się ze zwykłymi okolicznościami życia, ze zwykłymi wymaganiami jego, staje się nieugiętym; przeszkody dlań nie istnieją, zawał nie widzi, chociażby je zgnieść w biegu, choćby sobie samemu rozbić o nie piersi przyszło.

Więc Ujejski w wieku bieżącym, w owym dzieciętnym wieku, który nawet pocie każe samemu myśleć o sobie i dbać o zwykłe potrzeby i wymagania życia, to jakby człowiek z innych przeniesiony czasów. Zapóźno albo zbyt wczesnie narodził się on; niezdołen naginać się do chwili, ani do usposobienia panującego, ani do owych powiewów społecznych, które co chwila w inną stronę zwracają kierunek opinii. Nie ustępując sam, Ujejski surowo też zawsze sądził ustępstwa drugich; dlatego można go obwiniać o zbytne unoszenie się chwilową namiętnością, ale nigdy o postępowanie przeciwko przekonaniu swojemu, a tem mniej o zawiść, albo o inne jakie niskie cele. On zawistny? I czegoż taki człowiek zazdrościć może komu? Wszakże w rozdziale łask ziemskich i światła, jakie z góry śmiertelnikom się udziela, otrzymał on część wielką, część piękną, część wspaniałą; a wierzajcie mi, każdy prawdziwy talent zna i ocenia swoją wartość. W tem leży jego siła, jego pewność siebie i to natchnienie twórcze, które wielkie dzieła wznosi.

O żadnem niezawodnie z dzieł Ujejskiego nie dałoby się powiedzieć, że je pisał w jakichbądź celach pobocznych, naprzykład dla zyskania popularności, dla zaradzenia potrzebie chwilowej, albo zjednania sobie księgarskiego pokupu, tego pokupu który odrzucił Maryą Malczeskiego, a przytula do siebie kilkotomowe publikacje, facecjami, niedorzecznościami, albo czem gorszem jeszcze napełnione. Jeżeli jego prace przyjęły się powszechnie, to się stało dlatego, że na każdej z nich prawdziwy talent wypiętnował nieskalane godło swoje. Został on poetą w młodym bardzo wieku, zajaśniał gwiazdą piérwszej wielkości, w chwili w której inni niepewne jeszcze zwykli stawiać kroki, i pozostał takim, nie zmieniwszy się ani na źdźbło, nie zniżając natchnień, nie czyniąc ustępstw sobie ani drugim.

W chwilach kiedy netylko u nas, ale wszędzie w Europie następował przewrót w umysłowym rozwoju ludzi wybranych, kiedy poeci stawiali się publicystami, żeby mózż bliżej i dotykalnij do tłumu przemawiać, a może też wyraźnij podłuchać bicie serca tej wielkiej zbiorowej istoty, którą narodem nazywamy; w chwilach kiedy dramatopisarze zrobili

(1) Nie bez słusności wyraziliśmy się z powątpiewaniem o śmierci znakomitego poety; w chwili bowiem oddania kroniki na prasę, dowiadujemy się z Gazety Polskiej (która piérwsza wiadomość o śmierci Ujejskiego podała), że umarł w Korytnicy nie Kornel, ale Kalikst Ujejski, brat rodzony poety. Charakterystyka jednak talentu pisarza zajmującego tak wysokie w literaturze naszej stanowisko, pożądaną zawsze będzie dla ogółu czytelników; dlatego podajemy ją w całości, z małemi tylko zmianami. (Przyp. red.)

z teatru giełdę i grali tam w podniesienie albo obniżenie kursu papierów zmaterializowanego gustu publiczności; kiedy wyrazy zastąpiły ideje, a łamańce i sztuczki prawdziwą sztukę, — w takich mówię chwilach ludzie zachowujący jak Ujejski skarbem w pierśiach prawdziwe natchnienie, podwójnie godni są szacunku i uwielbienia wszystkich. Bo kiedy Bóg zażąda liczby z darów jakie udzielił, śmiało stanąć oni mogą przed sądem Najwyższego, nie pozostawiając poza sobą żadnej zmarnowanej myśli, żadnego spalonego kierunku. Takie użycie krótkich chwil życia jakie przeznaczono nam na ziemi, stanie za wiele.

Bardzo mało utworów Ujejskiego ukazało się w piśmie naszym, i krytyka nietylko może ile należało zwracała dotąd uwagi na ten promieniejący w całym swym blasku talent. Poszło żąd, że całość prac jego, nawet drukowanych, (bo wiele z nich pozostało w rękopiśmie) znaną jest zaledwie małej liczbie ludzi dokładnie wtajemniczonych w tegoczesny ruch naszego piśmiennictwa. W czasie gdy piosnki i gawędy Syrokomli na każdym prawie znajdowały się stożki, kiedy każde nowo wychodzące dzieło Pola rozrywano, rzadko kto posiadał pojedynczy tomik poezji autora Maratonu. Od młodszych do starszych braci idąc, taki sam mniej więcej był los Juliusza Słowackiego, w porównaniu do zasłużonej popularności, jaką szczęśliwsi od niego w tym względzie Mickiewicz i Małczeski zyskali. Pożądaniemby więc było zupełne wydanie dzieł Kornela Ujejskiego, i chociaż chwilowo dzisiaj publikacje literackie znajdują się w stanie zakrzepnięcia, to jednak niewątpliwie Ujejski powinien w tym stanowić wyjątek. Dzieła jego miałyby dla wszystkich powab nowości, połączone z rozgłosem i uznaniem, które im zyska niezawodnie wysokie stanowisko jakie autor ich zajął w literaturze. Zaprawdę, nie mylimy się, licząc Ujejskiego do rzędu pierwszych poetów polskich. Talent to szeroki zakresem, orle jego skrzydło nie cofa się przed najbardziej stromymi wyżynami, a przedewszystkiem posiada on tę żywotność, która do wszystkich serc przemawia. Ujejski to prawdziwy poeta narodowy, a mimo to dzieła jego na obce tłumaczone języki, mogłyby mu w każdej, choćby najwięcej rozwiniętej literaturze, znakomite zjednać miejsce.

Kilkakrotnie już w tej pogadance, która zdawałaby się z zakresu swojego do zupełnie innych przeznaczona celów, wspominaliśmy o ementarzu. Ale cóż czynić? bywają chwile w których nie człowiek piórem kieruje, ale pióro człowiekiem. Otóż pióro kieruje nas dziś na ementarz: podążmy za nim.

W tych czasach towarzyszyliśmy orszakowi żalobnemu. Chowano młodą kobietę. Pragnęła ona być pogrzebaną w tymże samym grobie, w którym matka jej znalazła ostatnie schronienie, i zastosowano się do jej woli. Wiadomo że grabarze nasi nie odznaczają się wielką ostrożnością w dopełnianiu grobowych obowiązków swoich. Rozkopując dół, naruszono trumnę matki. Smutny był widok tej trumny uszkodzonej, tych rozproszonych szczątków, które napróżno starano się zgromadzić. Obecni odwracali oczy. Zebrano wreszcie jakkolwiek szczątki i zapuszczono do dołu nową trumnę. Ale kiedy zaczęto ją zasypywać ziemią, usłyszano łoskot uderzających o deski twarde przedmiotów, niby kamieni. Były to inne szczątki ludzkie, które niewiedomo z kąd tam się wzięły, bo trumny nie było widać: czaszka, gołonie i piśczele!..... Do jakiegoż ciała należały te szczątki, co razem z ziemią poszły na zasypianie nowego grobu? Widać że z braku miejsca, czy z nieumiejętności w wyborze onego, rozkopują dawne groby i szczątki w nich będące wyrzucają na wiatr. Wprawdzie jeżeli zakupienie grobu nie nastąpiło na zawsze, można to po pewnym przeciągu czasu uczynić, ale jest w takim razie osobny przepis postępowania, którego się trzymać należało. W żadnym zaś razie szczątki ludzkie nie powinny być rozsypywane z nieposzanowaniem: to się nie godzi, to oburza wszystkich tych, co w przybytku śmierci poważnie widzą schronienie. Wyrzekamy na niedbalstwo ementarzy prowincjonalnych; a wszakże ementarz stoliczny powinien być w tym względzie wzorem dla wszystkich. Piędzdy nie brak, dochody są znakomite, jest więc za cóż porządek utrzymać. Płacąc za to ostatnie mieszkanie nasze, i drogo placąc, powinniśmy mieć przynajmniej do przekonania, że w spokoju w nim pozostawać będziemy. Niewiedomo nam do jakiego ciała kości owe należały, ale straszną byłaby dla pozostałych myśli, że zwłoki osoby miłej ich sercu taki los spotkał. To coś naksztalt owych kości ludzkich do cukrowni sprzedawanych. Może dla Amerykanów to rzecz chwalebna, ale my nie doszliśmy jeszcze do tej doskonałości i co daj Boże, nie dojdziemy nigdy. Tego rodzaju cywiliza-

cya nie pożądana dla nas; niech sobie zostanie tam, gdzie wzięła początek.

W Warszawie kończy się budowa wielu domów, rozpoczęta jeszcze w roku zeszłym. Roboty idą szybko; na każdej prawie ulicy widać rusztowania i wszędzie mrowią się pracownicy rzemieślnicy.

Owóz było to na Królewskiej ulicy, w południowej porze. Jak wiadomo, jest to chwila odpoczynku, której, po przyjęciu skromnego posiłku, robotnicy używają według upodobania swego. Więc niektórzy położyli się w cieniu i zasnęli, inni rozmawiali pomiędzy sobą, a inni znów, utworzywszy spore grono, otoczyli jednego, który, jak się zdawało, miał do nich jakąś przemowę.

Pewnego pana, przechodzącego właśnie tamtędy, zaciekało to kazanie na świeżem... (nie... w Warszawie to wyrażenie nie uchodzi), — więc jakże powiedzieć?... niech będzie na ulicznym powietrzu. Zbliżył się tedy ostrożnie i spostrzegł, że robotnik ów nie przemawiał, ale czytał. Tak jest, czytał, z bardzo porządnie oprawnej książki, a inni słuchali go z wielkim zajęciem, nie przerywając mu ani słowem, ani szmerem, ani ruchem żadnym. Nawet pomiędzy oświeconszą klasą rzadkoby było znaleźć tak pełnych uwagi słuchaczy. Przechodzień ów żałuje bardzo, że nie mógł dopatrzeć tytułu książki, ani dosłyszeć tego co tak zajmowało robotników; przekonany jest jednak iż była to jedna z tych ludowych publikacji, których tak wiele pojawiło się w ostatnich czasach. Fakt ten ze wszelkich względów zasługuje na ogłoszenie go drukiem. Jest on bardzo wymownym dowodem, że na płodnym gruncie naszego ludu wszystko co dobre i użyteczne przyjmuje się łatwo.

W tych dniach w tutejszym kościele ewangelicko-augsburgskim odbył się egzamen uczniów oddziału gry organowej w Instytucie muzycznym, pod przewodnictwem p. Augusta Freyera zostających. Wykonywano dzieła pierwszorzędných autorów. Egzamen w ogóle poszedł dobrze, wszyscy uczniowie znaczny okazali postęp, a kilku między nimi odznaczyło się wyższą zdolnością. Tytu kształcących się w grze organowej, to nowość prawdziwa dla nas. P. Freyer jest jednym z tych kierowników, którzy pracę swoją ze skutkiem umieją upożytecznie dla drugich; nie dość bowiem umieć, ażeby nauczyć. Potrzeba na to wielkich zdolności, nie małego doświadczenia i osobnego zupełnie wykształcenia w sztuce. Uczniowie są żyjącą pochwałą profesora, a praca utalentowanego muzyka odwdzięczyła mu się sownie przez wrażenie, jakie gra jego uczniów sprawiła na zaproszonych.

Komuż nieznanym jest stan zaniedbania w jakim muzyka liturgiczna znajduje się u nas, szczególniej na prowincyi? Tak zwani organisci wiejszy przechowali wprawdzie w tradycyi zdolność do przewodzenia kapotowem swoim dygnitarstwem na wieśniaczych zebraniach, ale o grze organowej najmniejszego czasem wyobrażenia nie mają. Są oni wprawdzie w pewnym względzie sztukmistrzami: organ zepsuty, miech zepsuty, jedna duda zaledwie dmie, a organista wali w klawisze i drze się w niebogłoso, nie dbając o akompaniament, byle swojego obowiązku dopełnił; reszta go nie obchodzi. Jak Paganini z jednej struny skrzypiec, tak on z jednej dudy organów potrafi melodią i harmonią wytworzyć. Zachodzi tu wprawdzie mała różnica, ale to już wina niedoskonałości instrumentu. A jacy transpozytorowie z nich! Pod tym względem niema dla nich trudności. Mazurek, walc albo krakowiak przemienia się pod ich palcami w muzykę kościelną; śpiewają kantyczki na nutę do piosnek Karpińskiego używaną, a kiedy zapomną akompaniamentu, pierwsza lepsza gamma ich ratuje. Wszakże i to muzyka. Co podpadnie pod rękę, to i dobre. I jak to mylnie są sposoby wyrażania się używane u nas: „Alboż to ja organista, żebym przebieżał,” mówi niejedyn. A właśnie organista nie przebieża; bo po prawdzie nie ma i w czem. Najczęściej nut on prawie nie zna, gra tylko i śpiewa z pamięci jak kogut, a ponieważ większa połowa klawiszów w organach nie odpowiada, więc i tu nie ma w czem przebieierać.

Et haec et ista  
Umie organista.

Ale najczęściej te haec et ista kończą się na starój piosence jakiejś, wziętej w spadku po poprzedniku.

I cóż w tym dziwnego? Gdzież organisci mieli się wykształcić u nas? Jeden drugiego zaledwie nauczył znać klawisze i na tym wykształcenie ich muzyczne kończyło się zazwyczaj.

Dzisiaj zmieniła się postać rzeczy. Nie żądamy wprawdzie żeby uczniowie Instytutu muzycznego rozchodzili się po wsiach starać się o zyskowne posady organistów wiejskich, ale każdy z nich może udzielać lekcya i spłacić innym dług, jaki u pana Freyera zaciągnął. Tym sposobem jedni przez drugich podziałają na cały ogół i wykształcenie rozszerzy się do najdalszych kraniców. Idzie tylko o pierwszy popęd, a ten już nadany. Należałoby żeby zamożniejsi parafianie dbali o opatrzenie kościołków w jakie takie organki, któreby nietylko już wiatr i syczenie, ale i głos wydawać mogły. Wszakże cena małych organków stała się teraz bardzo przystępną. Za kilkaset złotych można zakupić w Warszawie organki fabryki paryskiej Aleksandra, które aż nadto starczą na obsługę wiejskiego kościołka.

Liczba omnibusów u nas zwiększyła się w przeciągu roku do sześćdziesięciu kilku; ale wszystkie one krążą mniej więcej w jednych i tychże samych kierunkach. Największa ich część jeździ wyłącznie po Krakowskim-Przedmieściu i Nowym-Swiecie, albo też od Nalewek do Grzybowia. O tych ostatnich nie mówimy już, bo tylko tak niewymagająca publiczność jaką zwykle zabierają, zgodziłaby się jeździć na wozach skłębionych z różnych odpadków pozbieranych ze sklepów starego żelazstwa i grozących co chwila rozpadnięciem się. Bajeczne doprawdy są kształty niektórych z tych powozów, na najwyszukaną niewygodę utworzonych i ciągnionych przez konie, którym lada chwila ten padół ziemski opuścić zapewne wypadnie. A jednak te najwięcej zarabiają: zawsze w nich pełno. Niedogodne one, brudne, trzęsące, zapelnione wszelkiego rodzaju śmieciami i nieczystością, lecz pomimo tego publiczność tamedzna dobija się o nie i właściciele ich robią majątki.

Dzieje się z niemi tak jak z temi kawiarniami i garkuchniami, szczuplemi, zadymionemi, zabrukanemi, bez powietrza i światła, do których jednak publiczność warszawska najlepiej lubi uczęszczać. Znamy ludzi którzy na takich kawiarniach ogromne majątki porobili i teraz milionowymi są panami, posiadają pałace i dobra. A niechby właściciel albo właścicielka takiej kawiarni albo garkuchni pomysłeli o odnowieniu, o sprawieniu świeżych mebli, o daniu obić na ściany, o wybitciu okna, tam gdzie dotąd ciemno było jak w jamie, — publiczność wnet opuściłaby zakład, odstępując od dawnych tradycy. A przesąd ten, nieznanym gdzieindziej, istnieje u nas do tego stopnia, że kawiarnia, która zaprowadziła ulepszenie podawania osobno kawy lub herbaty, a osobno cukru, jak to się dzieje za granicą i jak sam zresztą rozsałek nakazuje, została opuszczoną przez swoich gości. Woleli oni ażeby kawiarka podawała im już przysposobioną, niezupełnie czystymi rączkami, napój, aniżeli żeby im samym przyszło wedle usposobienia swojego odrabiać tę operacyę. A wieluż to z nas widziało w pewnej garkuchni ułożone na półce kuchennej rury sędziwe wieki, które czekają spokojnie, ułożone w szeregach, na dzień tygodnia przeznaczone do podawania staropolskiego barszczu. Wówczas każda rura znajduje swój osobny talerz, a operacya ta i pod tym względem jest korzystna że plyn znajdujący się na talerzach, mianem barszczu okraszony, chmywa wszelkie skazy od much i kopeć z dymu kuchennego, które to nabytki zyskują one podczas odpoczynków swoich na półce. Ale to nie nie przeszkadza: barszcz zawsze jest smakowity, i wszyscy pożywają go po staropolsku z rurą, z wielkimi pochwałami miejscowej kuchni oddawanemi. Ale gdyby ta albo inna garkuchnia odważyła się wprowadzić serwety do obcierania ust po jedzeniu, albo dała kiedyś czyste nakrycie pod obiad, widelec i nóż oczyszczony z poprzedniego użytku, ręczę że goście opuściliby natychmiast zakład, który się dawniej tradycyi nie pilnuje. I ręczę że ci wszyscy właśnie, którzy na panujący w naszych garkuchniach nieporządek najbardziej wyzyrkają, pierwsi daliby przykład tej dezercyi.

Wracając do omnibusów, pożądanem byłoby ażeby obecnie, przy rozpoczętej porze kąpeli letnich, niektóre z nich jeździły przez nowy zjazd aż do Wisły, przywożąc tam i zabierając napowrót gości kąpielowych. Wszakże droga przez zjazd lepsza aniżeli gdzieindziej, a spadek wcale nieznaczny. Kursa takie sownie mogłyby się oplacić, bo podczas upału z zimnej kąpeli wracać piechotą pod górę, bardzo przykra jest rzeczą, a często nawet szkodliwą dla zdrowia. Własna więc korzyść powinaby zagnieć panów właścicieli omnibusów do wprowadzenia w czyn tej myśli.

## ZAKRYSTYA

## W KOŚCIELE OO. BERNARDYNÓW

W WARSZAWIE.

Żaden kościół w Warszawie nie uległ tylu zmianom, żadne zgromadzenie nie poniosło liczniejszych strat, jak księża bernardyni tutejsi, będąc po wielokroć nawidzani pożarem, lub zupełnym zniszczeniem i opustoszeniem.

Kościół ten założyła Anna księżna mazowiecka, wdowa po księciu Władysławie, w r. 1454, wkrótce po-

kami pobożnych współobywateli, wystawił nową świątynię z klasztorem; ale i te budowle we dwa lata pogorzały.

W parę lat potem Anna Radziwiłłowa, wdowa po Konradzie II księciu mazowieckim, wraz ze swymi synami w r. 1518 większą nawę kościoła z fundamentu wystawiła; zaś Jan Lubrański herbu Godziemba biskup poznański, mniejszą nawę czyli prezbiterjum swoim kosztem wraz z zakrystyą wymurował, które to odbudowanie skończyło się w r. 1533. Atoli wojna szwedzka w r. 1657 znowu go do szczytu zruinowała tak dalece, iż gdy po przywróceniu pokoju kościół ostatecznie dopiero w r. 1740 wyrestaurowano, zaledwie niektóre tylko części z dawniejszego pozostały.

Osobliwością jednak tej zakrystyi są z obu stron przy ścianach stojące, dwie wielkie mensy czyli szafy, na umieszczenie aparatów kościelnych przeznaczone, prawdziwe arcydzieła sztuki stolarskiej, różnobarwnym drzewem inkrustowane, to jest w sposobie mozaiki wyrobione są na nich obrazy z historii życia Matki Boskiej i Pana Jezusa, w dobrym rysunku i bardzo miernie ułożone. W podobnym rodzaju ozdobione są drzwi prowadzące do zakrystyi, mające wizerunki św. Paschalisa, Najświętszej Panny Anielskiej i t. p. Jest to praca braciszka tutejszego klasztoru Paschalisa Scholtza, wykonana w latach 1722 i 1733, jak to napis łaciński, na tychże znajdujący się, poświadczą.

Ta dziwnie piękna i mozolna robota, dziś ręką czasu dotknięta, nie zwraca teraz tyle na siebie uwa-



ZAKRYSTYA w kościele księży bernardynów w Warszawie. (Rysował z natury Fabijański.)

tém, gdy za Mikołaja V papieża, a za panowania Kazimierza Jagiellończyka, przybył Jan Kapistran z braćmi swymi do Krakowa. Kościół zatem warszawski jest drugi po krakowskim i razem z klasztorem na gruntach książęcych wystawiony, pod wezwaniem św. Anny, jako patronki księżny-fundatorki. Wprowadzeniu byli bernardyni uroczycie przez Andrzeja z Bnina Opalińskiego biskupa poznańskiego, a erekcyja ich przez króla Kazimierza Jagiellończyka zatwierdzoną została.

Pierwszy gmach był murowany, lecz klasztor z drzewa, który w r. 1507 zgorzał, i kościół przytém zniszczył. Znalazł się atoli wkrótce mieszkaniec Warszawy, nazwiskiem Baltazar, który częścią własnym kosztem, częścią skład-

Do ocalonych z pierwotnej budowli części należy zakrystya, której wizerunek podajemy. Była ona od teraźniejszej o połowę mniejszą, a rozszerzono ją w pierwszych latach XVIII stulecia. Dawniejsza też połowa jest widoczną, odznaczając się piękniemi, w stylu gotyckim zręcznie ułożonemi, licznemi żebrami na sklepieniu, które w części domurowanej wprawdzie naśladowano, ale nieudatnie i w mniej ozdobnym sposobie. Wewnątrz jest dobrze oświetlona i mieści w sobie, oprócz zwykłych przedmiotów, jak np. lawatorium z checińskiego czerwonego marmuru, nowożytnego wyrobu zegar i krucyfiks, oraz wcale dobrego pędzla obrazy, przedstawiające dwóch świętych ze zgromadzenia oo. bernardynów, św. Tomasza z Kory i św. Mikołaja Hiszpana.

gi, jak nato zasługuje. Trzeba dobrze się przypatrzyć, aby rozpoznać wytworny wyrób i sztukę utalentowanego zakonnika, który całe życie strawił na ozdobieniu świątyni rozmaitemi innymi jeszcze, w tym sposobie wykonanemi dziełami. Życzyćby należało aby gorliwi, a szanujący pamiątki narodowe mieszkańcy Warszawy, szczególnie zaś tutejsi obywatele stolarze, przyczynić się kiedy mogli do odnowienia tych niepospolitych wspomniastwa swego wyrobów; byłaby ztąd nie tylko korzyść dla sztuki i rzemiosła, ale i cześć oddana pamięci pracownika, który talent swój na chwałę Bożą obrócił.

## Mikołaj Wolski

MARSZAŁEK WIELKI KORONNY.

Wolscy, herbu Półkozic, pochodzili z Rawskiego, ale pisali się z Podhajec na Rusi. Mikołaj Wolski z Podhajec był marszałkiem królowej Bony i kasztelanem sandomierskim, posłował do Rzymu za Leona X z doniesieniem o zwycięstwie pod Orszą, jako kawaler bożogrobski i mile przyjęty, zasiadał na synodzie laterańskim pomiędzy Kolumnami i Ursynami. Dwaj jego synowie mają wspólny nagrobek u św. Jana w Warszawie, Mikołaj biskup kujawski i Stanisław, który był kasztelanem sandomierskim, marszałkiem nadw. kor. i starostą warszawskim. Synem Stanisława i Barbary Tarnowskiej, wojewodzianki sandomierskiej, był marszałek Mikołaj. Było synów kilku, ale wszyscy pomarli pierwej jak ojciec.

Urodził się Mikołaj Wolski w r. 1550. Wychowanie odebrał zupełnie cudzoziemskie; wzrastał na dworze obcych monarchów, więc dla Polski stawał się obcym. Panom koronnym i litewskim niezmiernie się podobały przepych i wystawa dworu cesarskiego, oraz stanowisko jakie zajmowała w Wiedniu arystokracja. Dlatego Ignęli do cesarza, od którego pokryjomy brali tytuły, dlatego synów swoich posyłali na dwór wiedeński, żeby się zawczasu zasługiwali cesarzowi. Tęczyńscy, Rozrażewscy, Radziwiłłowie znani są z przychylności swojej do Wiednia. Był i Mikołaj Wolski takim w dzieciennym wieku wychodząc z narodu.

W dziewiątym roku życia swego wysłany od rodziców do Gracu, na dwór arcyksięcia Maksymiliana, zawczasu przejmował zwyczaje i pojęcia niemieckie. Pobiierał nauki razem z synami Maksymiliana: Rudolfem, Maksymilianem i Maciejem. Arcyksiężęta rakuscy, żeby ująć sobie naród polski, przypuszczali łatwo senatorowiczów koronnych do takiego współnictwa pracy ze swiomi synami. Wolski szczególne pozyskał w tej rodzinie względy, bo wyznaczili go raz arcyksiężęta na mówcę do cesarza Karola V, którego miał powitać w Brukselli. Wolski przyjął zaszczyci „łacińskim stylem godnie i z pochwałą samegoż cesarza“ miał mowę.

Wróciwszy do ojczyzny jeszcze za panowania Zygmunta Augusta, nie zastał już pewnie przy życiu ojca, który umarł r. 1570. Ale nie może to się utrzymać, co o nim prawi Niesiecki, że skoro powrócił do ojczyzny, „miecznikiem koronnym od króla Augusta uczczony.“ Najprzód wiemy to z pewnością, że Jędrzej Zborowski starosta radomski, za Henryka Walezego był miecznikiem koronnym w r. 1574, a nawet doczytaliśmy się tego w źródłach, że Zborowski jeszcze w lipcu 1572 r., a więc za życia Zygmunta Augusta, był miecznikiem koronnym, zatem dla Wolskiego niema miejsca w owym czasie w szeregu mieczników. To pewna, że Wolski był „znacznym na

dworze królów Zygmunta Augusta, Henryka i Stefana“ jak pisze współczesny mu Paprocki. Ale miecznikostwo koronne przyszło, to widać po wszystkim, później Wolskiemu. Z porównania różnych okoliczności, łatwo wniesć kiedy.

Jędrzej Zborowski na koronacji króla Henryka niósł przed nim miecz według zwyczaju; było to w lutym r. 1574. W marcu już postąpił na marszałka

go, aż nareszcie starodawnym nalogiem zawadził o Wiedeń, a to w taki sposób.

Jedna cząstka narodu obrać chciała królem polskim cesarza Maksymiliana. Wolski, czego łatwo się domyslić, był jednym z najgorliwszych stronników cesarza. Zdaje się, iż wrócił wtedy Wolski znowu do ojczyzny, żeby wspólnie ze swoimi przyjaciółmi pracować nad podniesieniem domu rakuskiego. Otrzymał, niewiadomo od którego z królów, Henryka czy Zygmunta Augusta jeszcze, starostwo krzepickie, na pograniczu Ślązka. W Krzepicach teraz utworzyło się ognisko wielkich zabiegów. Jerzy książę lignicki, Piast, był w stałym porozumieniu się z wielu Polakami; służył więc cesarzowi do nich za pośrednika. Do Krzepic jeździli różni panowie, stronnicy cesarza, jak Łukasz Rokossowski, kasztelan szremski, podskarbi nadworny koronny (w październiku 1576, Mosbach, Wiadomości do dziejów polskich str. 404). Kiedy sam Wolski, zaraz po elekcji warszawskiej, wyprawiony został razem z innymi w poselstwie do Wiednia. (Mosbach, Wiadomości, str. 405, Orzelski u Wolfa t. II str. 335), w Krzepicach osiadł Jan Kochtaczka, szlachcic szląski i pisywał z rozkazu cesarza do prezesa kamery szląskiej o wszystkim co się działo w Polsce. (Mosbach str. 411.) Kamera sypała pieniądze, wojewodom, kanonikom, szlachcie. Po wszystkie wieki i czasy był to sposób bardzo skuteczny działania. Zdałoby się jednak iż Wolski, tyle obowiązany rodzinie cesarskiej, tak z nią blisko związany, powinien był działać więcej bezinteresownie jak inni. Tymczasem i jemu kamera obiecała 5,000 złp., tytułem utrzymania domu w Krzepicach. (Mosbach str. 437.) Weszła potem w nieprzyjemne z nim stosunki z powodu tej wypłaty. Gdy wielu stronników cesarskich, nabrawszy pieniędzy, poprzehodziło do Batorego, Maksymilian zabronił kamerze szląskiej dalszych wypłat; ale wtedy Wolski zgłosił się o te 5,000 złp. Kamera umyślnie pytała się cesarza co ma zrobić? odpowiedź niewiadoma.

Stefan Batory tymczasem się ukoronował. Według prawa, na tym obrzędzie powinien się być znajdować Wolski, żeby miecz nieść przed królem. Nie było go, zatem pierwszy z mieczników wojewódzkich, według zwyczaju, powinien był miecz nosić na koronacji. Ale nie było i krakowskiego i starszych po nim mieczników wojewódzkich, aż do łączycyckiego, który przyjechał na koronację. Król polubił Jerzego Niemstę, jednego z posłów do Siedmiogrodu, i jemu zlecił zastępowanie urzędnika koronnego. Posłowie, przestrzegając prawa i zwyczaju, urazili się o to i prosili króla przez deputatów, żeby nie ubliżał Lasocie Dybowskiemu miecznikowi województwa łączycyckiego. Król jednak od siebie prosił posłów, żeby na ten raz pozwolili zaszczyci Niemstę, i oświadczał, że to na przyszłość nie prawom miecznika krakowskiego ubliżać nie ma. Szlachta pofolgowała królowi, chociaż dziwnie jej się to wydawało, że Stefan, nie będąc jeszcze u-



MIKOŁAJ WOLSKI, marszałek wielki koronny. (Rysował Polkowski podług Preka.)

nadw. kor. (Orzelski u Wolfa t. I str. 282.) W tym więc czasie, to jest w marcu 1574 r., Wolski został miecznikiem koronnym. To niezawodne, bo po ucieczce Henryka spotykamy go ciągle na tym urzędzie, i to przez lat kilkanaście. Ale Wolski nie bawił długo w ojczyźnie i powtórnie wyprawił się do cudzych krajów, bo mu nie podobało się w swoim. Zwidzał wszystkie prawie w Europie królestwa. (Niesiecki.) Może pobiegł najprzód za Henrykiem do Francji, ale później, kiedy nadzieje Henryka upadły, jeździł du-

koronowanym królem, prawo sobie przywłaszczał, jakby rządy rzpltej sprawował. (Orzelski u Wolffa t. III str. 223).

Wolski, zawiedziony w najdroższych swoich nadziejach, zupełnie rzucił ojczyznę i osiadł w Wiedniu. Pojechał tam, kiedy po śmierci Maksymiliana (12 października 1576 r.) syn jego Rudolf wstąpił na tron cesarski. Powinnował dawnemu towarzysowi nauk korony i został na jego dworze. Podobno lat 16 tym razem przepędził w Wiedniu i był u cesarza podczaszym. (Niesiecki). Na tém stanowisku widział śmierć Stefana Batorego i nowe kuszenie się arcyksięcia Maksymiliana, brata Rudolfa, o koronę polską. Nie był i ten arcyksiążę szczęśliwszym od swego ojca, ustąpić bowiem musiał przed Zygmuntem Szwedem. Pokazało się niezadługo, że Zygmunt była to jedna myśl i serce z domem rakuzkim, chciał dobrowolnie jednemu z arcyksiążąt ustąpić korony; potem, kiedy to do skutku nie przyszło, ożenił się przynajmniej z rakuszanką. Może te dowody przyjaźni dla cesarskiego domu przekonały Wolskiego, dosyć że znowu do Polski wrócił i starał się o łaski króla Zygmunta.

Wypadałoby według rachuby Niesieckiego, że powrót ten nastąpił mniej więcej w epoce sejmu inkwizycyjnego. Króla sądzono i potępiano naród za przychylnosc ku Rakuszanom, która tak bardzo się nie podobała wszystkim; to więcej jeden powód dla takich legitymistów, jakim był Wolski, ażeby popierać stronę króla. Jakoż w istocie znajdował się już Wolski na koronacji królowej Anny w Krakowie. Pełnił powinność swoją, niósł miecz przed królem podczas koronacji (31 maja). Na maszkarach, które Zygmunt III dawał z tego powodu, również występował Wolski. Przedstawiał się w obłoku, w powozie królewskim „bardzo cudnym“, na którym cztery cnoty symboliczne siedziały. Kiedy się królowi urodziła pierwsza córka, Anna Marya, (w maju 1593 r.), Wolski jeździł w poselstwie z nowiną do arcyksiężny matki. (Bielski, dalszy ciąg kroniki str. 170, 173 i 296.)

Nie należał jednak do regalistów, to jest stronników dworu. Trwała długo zacięta walka pomiędzy regalistami a przyjaciółmi starodawnej wolności, aż póki w rokosz Zebrzydowskiego się nie zamieniła. Wolski i inni regaliści winni byli, że do walki przyszło.

Wolski znalazł wielkie względy u króla. Wziął od niego łaskę nadworną koronną, „z którą, jak powiada Niesiecki, otrzymał starostwa krzepickie, olsztyńskie i rabsztyńskie.“ Co do krzepickiego starostwa, oczywiście pomylił się Niesiecki, bo widzieliśmy że posiadał je już w r. 1575. Kiedy zaś wziął łaskę nadworną koronną, także niepewna. Marszałkostwo wprawdzie od r. 1595 po Prokopie Siemawskim, ale ta data jest zawczesna. Mamy ślad że Wolski jeszcze w r. 1597 był miecznikiem. Wyszło wtenczas w Wirzburgu dziełko Stanisława Szyszowskiego z Wąchocka: „de multiplicibus suffragiis, quibus pie defunctorum spiritus juvantur a viventibus, theologica disputatio.“ Na odwrocie tytułu tego dziełka jest herb Wolskiego, którego autor nazywa tylko miecznikiem; znajduje się i wierszyk łaciński, na pochwałę osoby i herbu, wdzięcznego wychowawca, a może i krewnego, Adama Wolskiego, którego miecznik kosztował swoim do Wirzburga na edukację do akademii posłał. (Jocher, obraz t. II str. 326.) Owszem, mamy i drugi ślad, że jeszcze w r. 1599 Wolski nasz nie był miecznikiem. Mamy przywilej Zygmunta III, podpisany w Częstochowie 3 lutego 1599 r., na mocy którego król nadawał Wolskiemu prawo wykupienia kopalni kawyzińskiej żelaza i wszystkich młynów w starostwie krzepickim i posiadania ich prawem dożywotniem. (Łabęcki, górnictwo w Polsce t. II str. 359.) Widoczna z tego, że Wolski nie objął łaski nadwornej w r. 1595 i że ten urząd przynajmniej lat pięć wakował. To również pewna, że Wolski wziął łaskę nadworną jeszcze za marszałkostwa Zebrzydowskiego, może jeszcze w r. 1599. Przynajmniej usunął się Zebrzydowski na województwo krakowskie w r. 1601. Dwa lata wakowała łaska wielka; miał na nią pewne nadzieje Wolski, i ze zwyczajem, który stał się prawem, jemu należała. Kanclerz i hetman Zamojski popierał do łaski wielkiej jego, lub Marka Sobieskiego. Widocznie więc Wolski znajdował się pomiędzy dwiema ostatecznościami. Względny u kanclerza szkodliwy mu u króla. Na sejmie w r. 1603, pomimo wszelkie spodziewanie się, na marszałkostwo wielkie mianowany Zygmunt Myszkowski, jeden z najzaciętszych regalistów, na dzień przed przyjazdem kanclerza. Podkanclerzy książę Tylicki tak się zmieszał, że od oddawania łaski Myszkowskiemu wymawiał się słabością zdrowia; wtedy król zagroził, że sam z tronu odda łaskę i Tylicki ustąpił.

Nominacją tę wszakże poprzedzić musiało poselstwo Wolskiego od króla Zygmunta do Klemensa VIII

papięza, a późniejsze od nominacji było drugie do cesarza Macieja i do Florencji. Można z pewnością temu wierzyć, co podaje Niesiecki, że z tych poselstw wyniósł Wolski i sławę imienia swojego i znaczne łask pańskich dowody. Bo te poselstwa musiały być i wspaniałe i wystawne.

Pan marszałek lubił ciągle podróżować. Ojczyzna niewiele dla niego miała uroku. Nazywali go Polacy „perpetuus viator“, bo ciągle jeździł, miejsca nigdzie nie zagrzewając. Nawet w starości nie folgował, a nie było tego roku, żeby nie odwiedził Włoch i Niemiec ten „ustawny peregrynant.“ (Pamiętniki do panowania Zygmunta III, Władysława IV i Jana Kazimierza, t. I str. 157).

To zamilowanie jego miało nawet swoje dobre strony. Wykształcił Wolski w sobie wysoko uczucie smaku, pokochał sztukę. Sprowadzał więc do Polski i osadzał w niej rzemieślników biegłych w różnych kunsztach. Budował także wiele, naśladowując zagraniczne wzory. Wystawił pałace wspaniałe w Olkuszu, Kłobucku, Rabszynie i Amanicach. Moźnego pana mniej moźni, a tyle co marszałek dumni, naśladowali i w Polsce powstawały coraz liczniejsze pałace, na wzór cudzoziemski.

Wolski przyozdobił świetnie swoje starostwa, ale najwięcej Krzepice. Tam go odwiedzał podobno Zygmunt III. Wolski rozszerzył w r. 1609 podupadły zamek w Krzepicach, obwarował go obronnym murem, wspaniałe mieszkanie urządził i założył ogród owocowy, a nieco opodal obszerny zwierzynek. Zamek był w czworogran zabudowany i miał piękną kaplicę św. Barbary. Na murach zatoczono działa. Zamek rabsztyński również rozszerzył i przyozdobił. (Obszerniej o tém w Opisie starożytności i t. d. ob. Dzień. powsz. 1863 nr 64).

Był Wolski także pobożnym, więc i Bogu ofiarował owoce swojego zamilowania w budownictwie. O milę od Krakowa na Bielanych osadził na srebrnej górze kamedulów. Pierwszy to był klasztor tego zakonu w Polsce, sprowadził go marszałek z Włoch w r. 1609. Wspaniały kościół tam pomurował i zakonników opatrzył szczerymi zapisami na własność. (Siarczyński, w Bibl. warsz. 1847 str. 47—25). Jezuitom dał hojne wsparcie na kościół przemyski. Augustyanom postawił „pańskim nakładem“ kościoły w Krzepicach i Kłobucku. Ale obok tego pilnie przestrzegał swego prawa i królewskiego. Przez lat 30 prowadził proces z księżmi paulinami częstochowskiemi o granice starostwa krzepickiego, aż do śmierci. (Pielgrzymka do Częstochowy Balińskiego, str. 251).

Przy wystawności w budowlach i poselstwach, był to pan w życiu swoim, w stroju i we wszystkim pomiarkowany. Dziwnie sprawiedliwy, „delikatnym sumieniem“ prawa cudzego jak swego przestrzegał. Wszystkim przyjemnie się stawał, ale cudzoziemcom w ogóle szczególniej sprzyjał. Uczony wielce, księgi pisywał i dawał je do druku. Hojny i wspaniały, byłby wielkim ministrem, gdyby nie to nieszczęśliwe a dobrowolne wynarodowienie się. Pomimo to prawo ojczyste znał dobrze i biegle wywiązywał się z różnych posług, które powierzały mu stany rzpltej z królem.

Nie zmęczył się jednak pracą, cały w podróżach. Brał udział w sprawach lenna praskiego w r. 1605 i 1609 (Possel). Z sejmu w r. 1611 wybrany kommissarzem do spisania krzywd ziemi wielunińskiej od Szląska. (Vol. legum t. III str. 44). W r. 1613 znowu był kommissarzem z sejmu, dla uspokojenia ludzi związkowych, którzy, dlatego że nie pobrali żołdu, wyprawę moskiewską zgubili. (Vol. legum t. III str. 168). Deputatem na trybunał skarbowy radomski wyznaczony był z sejmu r. 1618 (Vol. legum t. III str. 324), toż samo i w r. 1620. Oto podobno wszystkie już sejmowe prace Wolskiego. Niewiele tego na długie życie.

W r. 1615, po śmierci Myszkowskiego, posunął się Wolski na marszałkostwo w. koronne. Zygmunt III srodze żałował zmarłego. Wolski nie zastąpił mu Myszkowskiego. Łaskę nadworną wziął Jędrzej Przyjemski.

Towarzyszył Wolski królowi na wyprawę pruską przeciw Gustawowi Adolfowi w r. 1626. Jeszcze to wówczas zachowywał się ów starożytny zwyczaj, że marszałek wielki dowodził wojskiem królewskim nadwornym, służebnymi ludźmi. Od lat kilkudziesięciu podniosło się hetmaństwo, które sobie całą władzę wojskową przywłaszczyło, ale przez pamięć na dawne sprawy, w niebytności hetmanów, wojskiem dowodził marszałek. Chciał król przemknąć się do Gdańska, ale Gustaw na to nie pozwolił, stoczywszy bitwę pod Gniwem. Gorąco szła sprawa, chociaż wśród rowów i lasów hussarye zwawo stawać nie mogły. Dzielne żołnierstwo wstrzymywał marszałek wielki koronny i kazał na odwrot wtedy dopiero zabrać, kiedy nasi dobrze prazyli nieprzyjaciela. Nie

wiedział co się dzieje, a hetmańskie obowiązki pierwszy raz sprawiał w nieobecności Koniecpolskiego. Gustaw przeląkł się natarcia polskiego, nie dawał już więcej bitwy, ale do układów z królem się zabrał i zawarł rozejm chwilowy, aż w połowie października przybył Koniecpolski z kwarcianami. (Pamiętniki do panowania Zygmunta III, tom I str. 430).

Przewidując śmierć swoją, zrobił Wolski testament, o którym tyle tylko wiemy, że na kościół przemyski jezuitów, który nie był ukończony, przekazał 5,000 złp. Osobno także polecił, żeby przy pogrzebie żadnej nie było wystawności.

Umarł w marcu 1630 roku, mając lat wieku 80. Nagrobek jego Starowolski wydrukował w Monumenta Sarmatarum. Mowę pogrzebową nad ciałem jego miał tenże Starowolski i wydrukowawszy ją, przypisał synowcowi marszałka, niewiadomo z którego brata, Kazimierzowi Wolskiemu. Pochowany w kościele swoim na Bielanych pod Krakowem. Żony podobno nie miał i dzieci nie zostawił.

Jul. Bartoszewicz.

## PRZEGLĄD POLITYKI ZAGRANICZNEJ.

19 czerwca.

Grzmot dział domu inwalidów zawiadomił Paryż i całą Francją o nowym, nader ważnym zwycięstwie: Puebla wzięta. Konsul francuzki w New-Yorku, pod d. 4 czerwca doniósł co następuje: „Według wiadomości otrzymanych tu przez Vera-Cruz i Hawannę, Puebla jest naszą. Ortega z 18,000 wojska poddał się na łaskę i niełaskę.“ Ważny ten wypadek nie ulega już dziś żadnej wątpliwości. List kontradmirała Bosse, pisany z Vera-Cruz do ministra marynarki d. 22 maja, nareszcie depesza samego głównodowodzącego z d. 18 maja, potwierdza to zwycięstwo w zupełności. Z depeszy generała Forey dowiadujemy się o bliższych szczegółach tej sprawy. Ułarczka pod San-Lorenzo, w której korpus meksykański Comonforta znaczne poniósł straty, ogłodziła miasto. Z drugiej strony, w d. 16 maja, trzydzieści dział francuzkich zionęło ogniem i zniszczeniem i w dwie godziny cały fort Teotimchuacon rozbrojony i osłabiony został. W takim stanie rzeczy Ortega zaproponował generałowi Forey kapitulację, pod warunkiem wyjścia z fortecy z honorami wojskowemi, to jest z bronią w rękę, z artylerją i bagażami. Forey odpowiedział, że zgadza się na kapitulację, ale warunki odrzuca i swoje stanowi. Warunki francuzkie polegały na tém głównie, aby armia meksykańska złożyła broń przed frontem armii francuzkiej i poddała się w niewolę. Ortega odrzucił warunki, kazał w nocy, z d. 16 na 17 maja, połamać broń i zagwoździć działa, wysadził w powietrze magazyny prochowe, i wtedy dopiero wysłał parlamentarza do obozu francuzkiego z zawiadomieniem, że garnizon zaprzestaje obrony miasta i poddaje się na łaskę i niełaskę zwycięzców. Dostało się do niewoli: 25 generałów, 1,200 oficerów, od 15 do 17,000 żołnierzy, oraz mnóstwo dział, bagaży, amunicji i t. p. W d. 20 maja generał Bazaine z całą dywizją wyruszył w kierunku stolicy, aby zająć główne punkta w wąwozach prowadzących do Meksyku. Dzienniki półurzędowe twierdzą, że wzięcie Puebli zakończy tę wojnę, że rząd francuzki wejdzie w układy z Juarezem, ale z listu cesarza do generała Forey, z d. 12 b. m., wcale inne dają się wyciągnąć wnioski. Udzieliwszy swe pochwały wodzowi i armii, cesarz Napoleon tak mówi między innymi: „Celem naszym nie jest podbicie Meksyku, tém mniej jeszcze narzucenie Meksykanom rządu niezgodnego z ich życzeniem. Pragnę tylko, aby Meksyk odrodził się pod rządem opartym na woli ludu meksykańskiego, na prawie, porządku i postępie społecznym.“ Okazuje się więc że zdobycie Meksyku, a przedewszystkiem odebranie władzy Juarezowi i ustalenie nowego rządu, stanowić będzie dopiero o istotnym wycofaniu się Francuzów z tych odległych krajów. Dziennik France utrzymuje, że generał Forey otrzyma godność marszałka Francji. Ostatnie wiadomości odebrane z Paryża donoszą o rezultacie dodatkowych wyborów do ciała prawodawczego. W Paryżu kandydat opozycji p. Gueroult utrzymał się większością kilku tysięcy głosów przeciw p. Fouché-Lepelletier. Na prowincyi wybrano trzech rządowych i czterech opozycyjnych kandydatów. Pogłoski o zmianie ministeryum ucichły. Królowa hiszpańska, cesarz austriacki, król włoski, król pruski i król Belgów nadesłali już cesarzowi Napoleonowi powinnowania z powodu wzięcia Puebli.

Na posiedzeniu izby gmin w Londynie, kilku członków interpelowało gabinet z powodu smutnego sta-

nu Irlandy. Lord kanclerz skarbu oświadczył, że rozdział podatków jest jednakowy w Anglii i Irlandy. Izba wyznaczyła osobną komisyję do zbadania tego przedmiotu. Drugim z kolei przedmiotem obrad było drobne zajście między Anglią i Francją, z powodu zajęcia statku francuzkiego „Leopold,” przez okręt wojenny angielski „Zebra.” Na interpelacyę jednego z sędziów admiralicyi p. Addington, lord Paget odpowiedział, że kapitan francuzki nie chciał pokazać swych papierów i że sam sobie przypisać winien następstwa swego oporu. Zapowiedziane na d. 26 b. m. walne zebranie stronnictwa torysów, odbędzie się w Londynie. Dzienniki wątpią czy naczelnicy torysów przyjmą zaczepną politykę względem gabinetu. Spór brazylijski dotąd nierozwiązany. Deputacya grecka opuściła Kopenhagę w d. 11 czerwca i zabrała z sobą dokumenta opatrzone podpisami i pieczęcią królewską, w których król Fryderyk VII przyjmuje za księcia Wilhelma dziedziczny tron grecki, pod warunkiem przyłączenia wysp jońskich do Grecyi.

Z Włoch nic ważnego. Deputowani lewej strony interpellowali rząd w kwestyi rzymskiej, ale odpowiedź ministra spraw zagranicznych nie zawiera w sobie nic stanowczego. Perseveranza donosi, że według wiadomości odebranych z Rzymu, posłowie Francyi i Austrii zaprotowali w sprawie Fausti Venanzo i polecieli prawnikom ambasady zbadanie tego procesu. Prawnicy całkowicie zganili postępowanie władz rzymskich. Twierdzą nawet, że kardynał Antonelli podał się do dymisji. Franciszek II gotuje się podobno do opuszczenia Rzymu. W skutek zawartej konwencyi, Francuzi pilnie strzegą granicy rzymskiej.

(Ind. Bel. Schles. Ztg. Jour. des Deb. France. Constitut.)  
**Ostatnie despeze.** Wiedeń 15 czerwca. Otwarcie rady stanu nastąpi w przyszłą środę, po odprawieniu stosownego nabożeństwa w kościele św. Stefana. Prace nazajutrz rozpoczęte zostaną pod przewodnictwem arcyksięcia Karola Ludwika, w zastępstwie cesarza.

Londyn 15 czerwca. Lord J. Russell przesłał jednoznaczne noty do Wiednia i Berlina, w których wspomina o niebezpiecznych zakłaniach jakie wyrodziłyby się mogły z egzekucyi wojskowej niemieckiej w księstwie holsztyńskim.

## KOŚCIÓŁ KATEDRALNY

W WILNIE.

Historya tej świątyni ściśle jest z historyą Wilna związana, gdyż jej założenie sięga czasów pierwszjej apostołskiej wędrowki na Litwę nowo nawróconego Jagielly i świętobliwej Jadwigi. Wszystkie kłeski, jakie miasto dotykały przez pięć wieków ostatnich, odbiły się zniszczeniem na murach tej świątyni, która pokilkakroć przez pożary niszczona, zawsze się z gruzów dźwigała, zawsze piękniejsza, zawsze skupiając u swych ołtarzy wiernych gromady.

Historya katedry wileńskiej mogłaby być traktowaną z dwojakiego punktu widzenia: najprzód ze strony duchowej, t. j. zapatrując się na nią jako na stolicę biskupów wileńskich, kręśląc obraz zapasów katolicyzmu z pogaństwem, przebiegając cały szereg usiłowań, mniej lub więcej szczęśliwych, bezinteresownych lub interesowanych, stanu duchownego, przez pięć wieków istnienia chrześcijaństwa na Litwie, i wykazując nareszcie co się za wpływem jego zrobiło dla oświaty ludu, dla rozkrzewienia w massach zasad zgody i miłości bratniej; powtóre: ze strony materialnej, t. j. spisując wiernie, ile na to pozwolą źródła historyczne, wszystkie zmiany jakim sam gmach podlegał od czasów jego założenia, aż do chwili obecnej.

Bezwątpienia pierwsze zadanie przyniosłoby więcej dla ogółu korzyści; lecz jest to przedmiot do wielkiej pracy historycznej, do której sumiennego wykonania nie czujemy się na siłach, i dlatego musimy się ograniczyć na skręśleniu historyi samego gmachu. Każdy wedle swej możliwości....

Co do czasu założenia, wszyscy historycy zgadzają się na jedno, że świątynia ta była ukończoną i poświęconą w r. 1388 d. 7 maja, przez arcybiskupa gnieźnieńskiego Bodzantę, który nazajutrz w dniu św. Stanisława, pod którego wezwaniem stanął ten przybytek, wprowadził na stolicę pierwszego biskupa wileńskiego Andrzeja z Wasilewa, czy też Wasilona, Wazytę, z familii Jastrzębców, Polaka, zakonu braci mniejszych, biskupa cereteńskiego, niegdyś spowiednika królowej węgierskiej Elżbiety, przykładnego męża i sławnego kaznodzieję.

Również się zgadzają co do miejsca, na którym wzniesiono świątynię, naznaczając je na dolinie Szwinctoroha, u stóp zamku górnego, w obrębie krzywego grodu, na miejscu gdzie stała świątynia Perkuna i gorzał wieczny ogień Znicza, przez wajdelotów strzeżony.

Świątynia pogańska, wedle Balińskiego, była drewniana, posąg zaś Perkuna stał nieco dalej, na tém samem

miejsu gdzie dzisiejsza katedra. Narbut zaś sądzi, że świątynia Perkuna była murowaną i że na tych samych ścianach wzniesiono później kościół katedralny; a popiera swe przypuszczenie tém, że pierwsze postanowienie burzenia bałwochwalni zapadło 10 marca 1387 r. Porównując tę datę z datą poświęcenia kościoła, uważa za niepodobienstwo ażeby, przy ówczesnym stanie sztuki budowniczej, można było w tak krótkim przeciągu czasu wzniesić gmach do tyła okazały od fundamentów, ozdobić go zewnątrz i wewnątrz i poświęcić.

Sądząc o kształcie pierwotnej katedry z rysunku Knaffusa, zamieszczonego w pracach pomniejszych Narbuta, mamy prawo przychylić się do zdania pierwszego dziejopisa Litwy, gdyż niezwykła szerokość świątyni i cały jej kształt naprowadzają na myśl, że ściany jej musiały uprzednio stanowić jakieś ogrodzenie bez dachu; lecz znowu nie nam nie może służyć za rękomię autentyczności tych rysunków Knaffusa. (1).

Za opinią Narbuta przemawia jeszcze ta okoliczność, że w pierwotnym kościele chrześcijańskim, przy nawracaniu pogan, tam zwykle zakładano świątynie prawdziwej wiary, gdzie się uprzednio wznosiły bałwochwalnie pogańskie, albo gdzie były gaje, drzewa, kamienie, uroczyska od pogan czczone, lub jakiemukolwiek bóstwu poświęcone; trzeba było bowiem toporem uderzyć w spróchniały pień pogaństwa, by na jego zwaliskach zabłysła jutrznia chrześcijaństwa na Litwie i na zgaszonych Znicza popiołach, krzyż Pański rozpostarł swe ramiona nad zgromadzonymi, u stóp jego nowo ochrzczoneymi.

Lecz aby nowe światło opromieniało ciemnie sere i umysłów i zmusić je do zrzeczenia się przesądów dawnych, trzeba było dotykać przekonac o nieudolności bogów pogaństwa, których zemsty lękali się Litwini. Dla ludu spożytego i sponiewieranego niewolą, nowa wiara musiała zjawić się silna imajestatem otoczona. To nam tłumaczy okazałość wędrowki apostołskiej Jagielly i Jadwigi i środki gwałtowne przy burzeniu bałwochwalni użyte. Przypatrując się tej ruinie, pogaństwo wzdrygało się na widok świętokradztwa takowego, płakało skrycie nad nieposzanowaniem czei przodków i wiary praocjów, ale nigdzie nie było oporu, bo lud nie miał woli własnej. Przemawiał zaś książę, a gdy taka była wola książęca, gdy obaczono iż bóstwa pogańskie dają się bezkarnie niweczyć, ścinać, zabijać, ochłoneła z trwogi ludność pogańska i oświadczyła, że chce się ochrzcić.

Tak chęć, zrazu bezwiedna, może dary szat białych sukiennych, przy chrzcie ofiarowanych, mająca głównie na względzie, była źródłem odrodzenia się Litwy. Przyjmując chrześcijaństwo, musiała przyjąć od sąsiadów ich zwyczaj i prawa.

Wracając do katedry wileńskiej, na potwierdzenie dowodów Narbuta, że świątynia ta była tylko przeobrażoną pogańską bałwochwalnią, możemy przytoczyć list św. Grzegorza papieża do św. Augustyna, apostołującego na wyspach brytańskich, w którym właśnie podobne środki są zalecane.

Zapewne wielki dość zachodzi przedział co do czasu, ale zwyczaj kościoła nie ulegały zmianom, i przy wprowadzeniu wiary św. na Litwie postępowano zupełnie podobnie.

List ten papieża brzmi następnie:

„Chrześcianie nie mają być skwapliwi w niszczeniu świątyni pogańskich, ale powinni tylko obalać bałwany ich bożków, skrapiać święconą wodą, wznosić ołtarze i umieszczać w nich relikwie świętych. Jeżeli te świątynie są gruntownie zbudowane, trzeba tylko w nich odmienić przedmiot czei i zlego ducha zastąpić wyobrażeniem prawdziwego Boga; a to dlatego, żeby lud, widząc że jego świątynie są zniszczone, dobrowolnie błędów się swych wyrzekł, a prawdziwego Boga poznając i chwalać, do miejsc do których przywykł, snadniej się gromadził.“

O wewnętrznym urządzeniu katedry pierwotnej, najlepsze nam może dać pojęcie dziennik podróży wielkiego szpitalnika zakonu, Konrada hrabiego Kyburga, który w r. 1397 zwidził Wilno, w charakterze posła nadzwyczajnego od Krzyżaków pruskich do w. ks. Witolda. (2).

Dziennik ten, zapewne dla zaspokojenia ciekawości jakiej wysokości osoby, przyjaznej zakonowi, był sporządzony, nie zaś dla samego zakonu; wnosimy o tém z tej okoliczności, że hr. Kyburg w relacyi swojej zamilcza po co jeździł do Wilna, przesłizga się zrzęcznie omówieniami co wskórał, a głównie zwraca uwagę na zwyczaj i sposób życia narodu.

Po opisanu odwiedzin biskupa wileńskiego i uczył

(1) Architekt Knaffus, zmarły w Wilnie 1790 r. Podług jego planu stanęło w Wilnie obserwatorium astronomiczne.

(2) O poselstwie tém spotykamy wzmiankę w liście w. mistrza do mistrza inflanckiego. (Judex C. Dipl. Napierskiego nr. 526.)

przezeń ofiarowanej gościom dostojnym, tak dalej ciągnie swój dziennik hr. Kyburg: (1) „Ku wieczorowi przybył przewodnik od biskupa przysłany, kapłan przybył, na brodzie i głowie białuteńki włos mający. Kiedyśmy się z nim wybrali pójść do kościoła, już było blisko zachodu słońca. Nowy nasz towarzysz był członkiem kapituły, nazywał się Berwaldus, Niemiec rodem, z Augsburga podobno. Powierzchność tej katedry zadziwia ogromem: jest to czworobok podłużny, wzniesiony z cegły i kamienia polnego, ma raczej zameczka, niżeli świątyni pozor. Była bowiem bałwochwalnia litewska, zewnątrz w ścianach niczém nieodmieniona, prócz przodowej, ozdobionej w smaku terazniejszym, wnętrza i liczby okien. Dach ogromny, odpowiedni szerokości budowy, wspiera się na filarach przez sufit przeciągnionych, na rogach cztery wieżyczki, po dwie z każdego boku, i trzy inne, jedna nad przodową wystawą, druga na środku dachu, trzecia na tyle. Ta przodowa wystawa jest trójkątna, żadnymi ozdobami nieokryta; w jej oknach wiszą dzwony, ale niewielkie. We środku trzy rzędy grubych filarów rozdzielają kościół na cztery nawy. Wielki ołtarz stoi na miejscu pogańskiego, wiecznie gorejącego ogniska, od ściany tylnej w znacznym oddaleniu; za nim filar, przed nim filar, z boku więc tylko stojąc, można widzieć kapłana mszę odprawiającego. Niemało jest ołtarzy w głębi naw i przy filarach, ozdób niewiele znaczących, są i przegrody nakształt kaplic, kratami obwiedzione, wcale niewytworzone. Wszelako lichtarze stojące i wiszące, podlampowe świeczniki (kandelabry) drogich metalów blaskiem polyskują; niektóre obrazy kosztownie ubrane, zakrytya dosyć dostatnia. Nadgrobków żadnych. Zmrok zapadający w tej, z siebie dość ciemnej, świątyni, jakiś melancholiczny urok na nas wywierał.

Lampy tu i owdzie ciągle gorejące, żywszy coraz odbłask wydawać poczęły.

Śpiew monotony chórzystów, powtarzających psalmy w głębi jednej nawy, ustał niebawnie i postrzeżliśmy rześiste światło w końcu prawej nawy; było to świecie zapalone na ołtarzu św. Jana Chrzciciela. Lud, chociaż licznie zgromadzony, niknął prawie w tym ogromie gmachu, tylko pewien natłok dał się widzieć pod wspomnianym ołtarzem. Posłyszeliśmy śpiewanie kapłana intonującego nieszpory, potem chóralny śpiew bardzo harmonijny. Po odśpiewaniu psalmu, na górnej galerji, jaką każda nawa miała ze strony głównego wnijscia, prawie nad naszymi głowami, rozległ się odgłos narzędzi muzycznych: trąby, oboje, bębny, kotły ogromne, wydały taki dźwięk i huk, żeśmy rozumieli słysząc wrzawy wojennej udawanie. Lecz to wszystko było jakoś harmonijnie, muzykalnie; grzmiące tony słaby zwolna i w końcu zwały się z pięknym męzkim głosem, mocno i wyrazisto śpiewającym: *Gloria Patri et Filio* etc.

Zdaje się, robi dalej uwagę hr. Kyburg, że ten sposób (przy tak dźwięcznej muzyce i śpiewaniu doskonałym) odprawiania nabożeństwa, stosowniejszym jest dla ludu, który niedawno bałwochwalstwo odrzuciwszy, potrzebował zmysłowego wrażenia, aby się przejął umysłowie czcią Boga prawdziwego. Lud na wyrazy *Gloria Patri* upadał na twarz, i myśmy to samo powtórzyli, jakbyśmy widomą przytomnością Trójcy Najświętszej owionięci zostali. Przy śpiewaniu *magnificat*, dzwony się odezwały w liczbie czterech. Jest wprawdzie wieża okrągła, tuż przed wnijsciem do kościoła, lecz na niej dzwonów nie widać; stoi bez wieżchu, raczej do baszty obronnej, niżeli do dzwonnicy podobna. Jakoż okna w niej wysokie a wązkie i nieregularnie rozłożone. (2).

Władysław Jagiello, acz niedawno nawrócony, wierzył głęboko w Boga chrześcijańskiego i w swęj troskliwości o byt kościoła w Litwie, uposażył hojnie katedrę i kapitułę wileńską. Nadania te powiększył jeszcze Władysław, przeznaczając kościółowi i biskupom jego znaczną część miasta Wilna. Biskup otrzymał nadto dom murowany, na ciągle mieszkanie dla siebie i swych następców, w obrębie zamku dolnego.

W latach następnych, wśród zatrudnień wojennych, nie zapomniał jednak w. książę Witold, wierny raz powziętemu przywiązaniu do wiary rzymskiej, coraz więcej wzbogacać kościół katedralny wileński. Przywilejem swoim, datowanym w Wilnie 1396 r., za zgodą i pozwoleniem króla Władysława, nadaje Witold kapitule tegoż kościoła dobra zwane *Cudzieniszki*, niedaleko zamku Miednik, z obowiązkiem odmawiania codziennie prawie mszy za dusze zmarłych swoich braci, książąt: Kaźmirza Korygielly i Aleksandra Wigunta. W rok potem Władysław Jagiello, współ-

(1) Pamiętnik ten s. p. Żegota Onacewicz na język polski przełożył.

(2) Baszta ta, jak ją opisuje Kyburg, została do dziś dnia. Służy ona za podstawę dzwonnicy katedralnej, która widocznie była później budowaną.

nie z w. ks. Witoldem, wynagradzając Andrzejowi biskupowi zupełne jego poświęcenie się osobą i majątkiem, mimo licznych niebezpieczeństw, połączonych z pracą nad rozszerzaniem zasad chrześcijaństwa między neofitami, zapewnili mu dochód ze skarbu swego po dwieście marek rocznie, pókiby nie stanął pokój między Litwą a krzyżakami.

W takim stanie, akęśmy wyżej opisali, kościół przetrwał niedługo. W wielkim pożarze zamku dolnego, wszczętym od stajni wielko-książęcych, zgorzał do szczytu pod koniec r. 1399.

Pomimo wielu innych klęsk okropnych, które w tym roku kraj nawidziły, wielki książę Witold, wespół ze swą małżonką Anną, znalazł środki odbudowania kościoła katedralnego. Nowa świątynia w smaku gotyckim rychło podniosła się z gruzów, znacznie okazałsza i nadobniejsza niż przedtem.

Dobre stosunki podówczas z Niemcami, dały możność sprowadzenia z tamtąd zdolnych rzemieślników, oraz materiałów budulcowych, których na miejscu znaleźć lub też należycie przygotować nie było można.

O wewnętrznym urządzeniu tej świątyni nie spotykamy żadnej wzmianki ani w kronikach współczesnych, ani w pamiętnikach późniejszych, tém bardziej że kościół ów przez Witolda wzniesiony, przetrwał wiek jeden po śmierci założyciela swego, bo w roku 1530 spłonął całkowicie. Narbut w swoich pismach pomniejszych przytacza legendę o ołtarzu św. Krzyża. Legenda ta, jako niepoparta za-

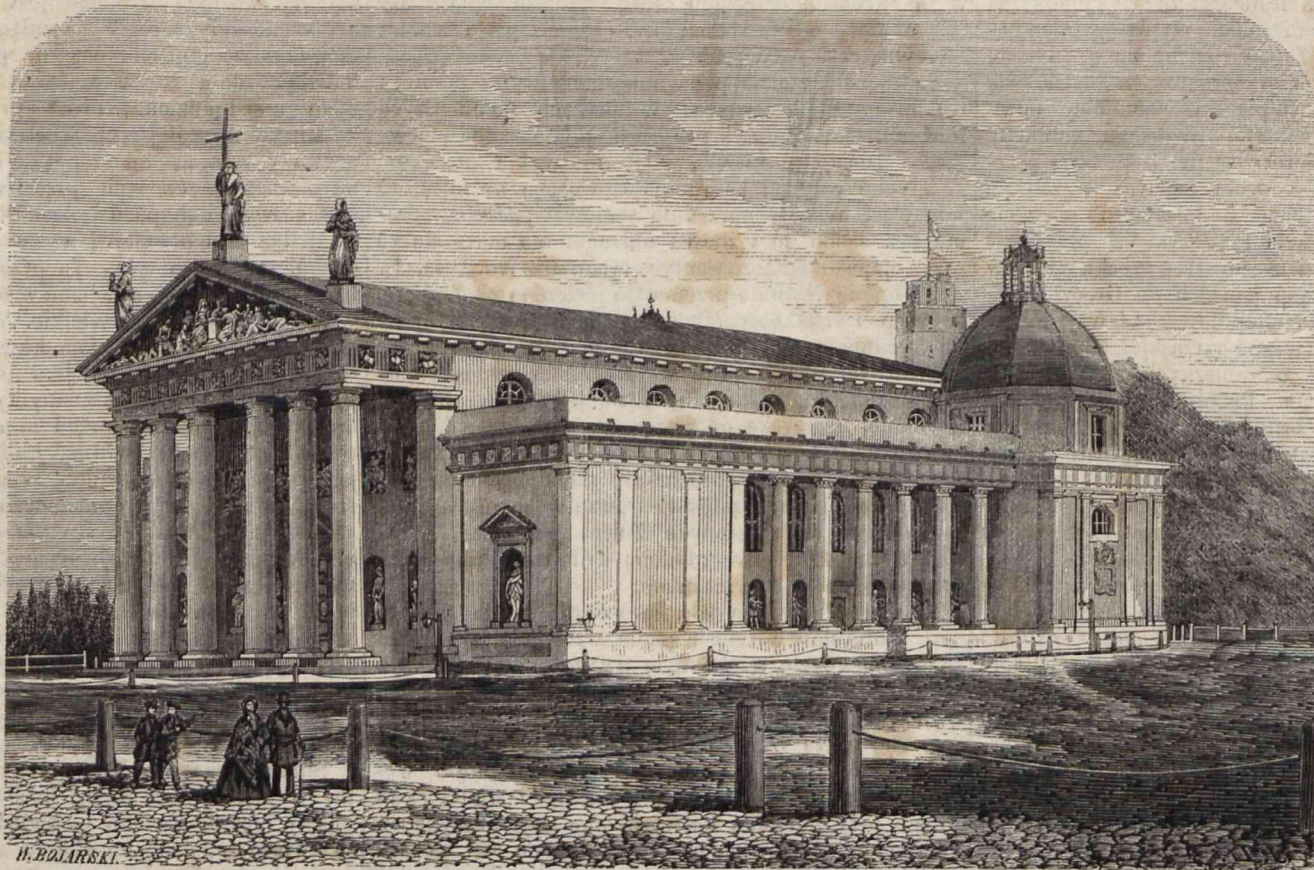
dnym dokumentem historycznym, może służyć tylko za świadectwo usposobień religijnych ludu naszego.

Lud każdy, w epoce swjej młodości, wierzy, iż się tak wyrazimy, zmysłowo; wyobraźnia jego, za ledwie z więzów przesądu i zabobonu uwolniona, widzi potęgę w rzeczach nadnaturalnych tylko, szuka cudowności nadzwyczajnych, nie umiając dopa-

wadzonemu z Włoch architektowi Bernardowi Zenobi. Fabryka się rozpoczęła w roku 1534, a we 4 lata później kościół już poświęcono.

W roku 1610 katedra stała się ofiarą pożogi, i znowu, za biskupstwa słynnej pamięci Abrahama Wojny, nanowo odbudowana w r. 1632. Przypatrując się rysunkom Knaffusa, widzimy dwie wieże wyniosłe, lekkiej budowy, które nie-

długo podobno trwały, bo już w wieku 18 został kościół z jedną tylko wieżyczką zegarową, na mocnych dębowych tramach, podpartych gdzieniegdzie słupkami murywanymi, stojącymi prosto na baniastym sklepieniu kaplicy, pod wezwaniem imienia Najświętszej Panny. Wieżycza ta runęła w roku 1769, dnia 7 września. Czterech wikaryuszów kurs śpiewających, zabiło na miejscu sklepienie kapliczne, dwóch innych kapłanów przywalilo sklepienie kościelne, które zapadło między ostatnimi filarami. Uszkodzenia całego kościoła były tak znaczne, że nawet nabożeństwo katedralne musiano przenieść do kościoła akademickiego św. Jana. W r. 1777 biskup Ignacy książę Massalski zaczął się



KOŚCIÓŁ KATEDRALNY W WILNIE. (Rysował z fotografii Lewicki).

zajmować odnowieniem kościoła katedralnego, podług planu architekta Wawrzyńca Gucewicza, profesora szkoły głównej litewskiej. Na koszt przebudowania biskup obowiązał się płacić rocznie z własnej szkatuły 8 tysięcy czerwonych złotych.

(Dokończenie nastąpi).

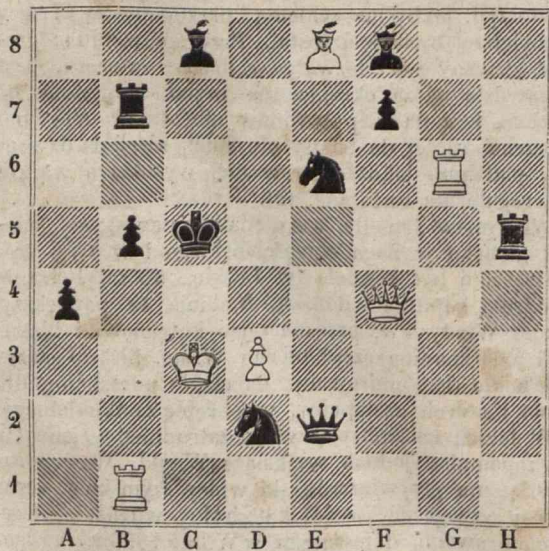
**SZACHY.**

ZADANIE CLX.

(K. B. w Grodnie.)

Białe zaczynają i dają mata za piątym posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 159.

Białe.

Czarne.

- 1) A 7—B 6 . . . . . 1) H 5—H 4.
- 2) A 4—A 8 . . . . . 2) H 4—H 3.
- 3) B 6—A 7 . . . . . 2) B 4—A 4 lub A 5.
- 4) A 7—C 5 † odkryty i mat.

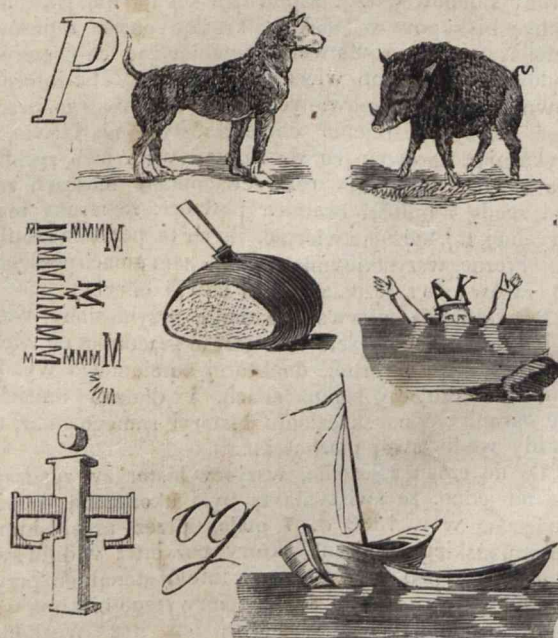
trzyć tego cudu bez początku i końca, który w każdej chwili życia natury i społeczeństwa objawia się potężnie i bardziej winien uderzać umysły, niż wszelkie baśnie nadprzyrodzone.

Usposobienie takowe ludu litewskiego w pierwocinach jego chrześcijańskiego, życia musiało, gwoli dawnym przyzwyczajeniom, tworzyć legendy, pełne tajemniczości i cudowności. Legenda przez Narbuta podana jest następującej treści:

Po zniesieniu bałwochwalni pogańskiej na świętorozu, postawiono krzyż święty na miejscu dawnych ołtarzy pogańskich; przy odbudowaniu powtórnie kościoła zaniechano krzyż odnowić. Jednakże po ukończeniu Witoldowego kościoła w roku 1407 i poświęceniu go w dzień czwartej niedzieli po Wielkiejnocy, zdarzyło się iż jeden kapłan pobożny, jakoby ze wsi przybyły, a wiekiem pochylony, wyraził swe ubolewanie, iż w nowej świątyni dawnego godła wiary chrześcijańskiej nie znalazł. Biskup Mikołaj z razu mało dawał baczenia na słowa sędziwego starca. Aliści dnia pewnego, gdy ów biskup, znajdując się na rannem nabożeństwie w katedrze, kłęcząc przy pulpicie, sen go zmorzył i w tym śnie ujrzał biskupa ś. p. Andrzeja, wynoszącego z zakrytych krzyż drewniany sporę wielkości, który skinąwszy na kłęczącego biskupa, utkwil ten krzyż na środku kościółka i zniknął. Opowiadanie snu tego przywiodło na pamięć owego staruszka nieznanego, który przypominał mu o krzyżu tkwiącym pośród starego kościoła, dodając że nieodnowienie owej pamiątki jest nieuszanowaniem przeszłości i uwłacza kościołowi. Wkrótce rzecz doszła do w. ks. Witolda, który przeznaczył koszt na wystawienie ołtarza św. krzyża pośród kościoła, na wzór katedry krakowskiej. Postawiono więc prosty drewniany krzyż, ciemno pokostowany, z figurą ukrzyżowanego Zbawiciela, przedziwnego rznięcia z kości słoniowej, dar ks. Witolda. Przed krzyżem stała mensa na podobieństwo urny, na dwa stopnie podniesiona, mająca dokoła balustradę brązową.

Ołtarz św. krzyża trwał, mimo kilkakrotnych pożarów, aż do ostatniej restauracji kościoła; figura zaś Zbawiciela przechowuje się aż dotąd w skarbcu wileńskim, a podczas rezurekcyj bywa wynoszona. Po pożarze, który w 1530 roku zniszczył świątynię, król Zygmunt I, wespół z biskupem wileńskim Janem, zajęli się wyszukaniem środków do odbudowania nowej świątyni, poruczając kierownictwo roboty spro-

**REBUS.**



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 194.

Zbytne pieszczenie dzieci przekraczające miarę, to nie raz grzech pierworodny wychowania.